

Dowódcy czują zagrożenie ze strony kontrwywiadu

20 grudnia 2013

„Skrzypczaku miał gwarantować, że modernizacja nie zamieni się w jeden wielki przewał. Teraz obawy wzrosły” – mówi Marcin Odegowski, dziennikarz Interia.pl, autor blogu zafganistanu.pl i książek poświęconych afgańskiemu konfliktowi.

STEFczyk.INFO: Marcinie, niedawno wróciłeś z Afganistanu z kolejnego wyjazdu reporterskiego. Ten kraj zmienia się z wizyty na wizytę? Czy może zmian nie widać?

MARCIN OGDOWSKI: Zaczę od pewnej refleksji, która naszła mnie na pokładzie polskiego śmigłowca transportowego. Lecieliśmy późnym wieczorem, nad Ghazni – i byłem zaskoczony tym, że w mieście pali się tyle świateł. Dużo więcej niż kiedyś, zupełnie, jakby wokół nie tliła się wojna. Najlepiej oświetlonymi punktami były stacje benzynowe. Cóż, wzrastająca liczba aut w Afganistanie powoduje, iż sprzedaż paliwa stała się naprawdę dochodowym interesem.

Lecz gdyby tylko na tym poziomie analizować sprawę, popełnilibyśmy błąd. Pod Hindukuszem dokonano wielu infrastrukturalnych inwestycji, wdrożono wiele pozytywnych, społecznych programów – na przykład związanych z oświatą – ale mimo to nie sposób uznać, że Afganistan dołączył do grona normalnych krajów. Gigantyczna korupcja, liczne grupy przestępcze, za sprawą których mijający rok będzie znów rekordowy, jeśli idzie o produkcję opium – to również elementy tamtejszej rzeczywistości. Do tego regres prawny i obyczajowy – na przykład wpływowi politycy zastanawiają się nad przywróceniem ukamienowania jako legalnej kary. No i przede wszystkim panosząca się rebelia, która po ograniczeniu działań operacyjnych przez siły NATO, nabrała pewności siebie. Najlepszym tego przykładem atak na polską bazę w Ghazni,

jakiego dopuścili się bojownicy w sierpniu tego roku.

Zatem owszem – zmienia się. Ale w mojej ocenie to wszystko zmierza ku katastrofie. Ku krwawej domowej wojnie.

– Niedawno Prezydent RP ogłosił, że Polska może skończyć z misjami zagranicznymi, a przynajmniej tak odczytywano jego słowa. To dobry ruch?

– To zależy, co konkretnie się za tym kryje. Najważniejszym wyzwaniem, przed jakim stoi obecnie Wojsko Polskie, jest modernizacja. Plany są ambitne, zapisane na ten cel pieniądze – ogromne. Pozytywny finał byłby godny wyrzeczeń, bo w efekcie nasza armia mogłaby trafić do europejskiej czołówki – nie zaś wlec się w ogonie – stając się na tyle silną, że nawet nasi najwięksi potencjalni przeciwnicy raczej zrezygnowaliby z konfrontacji, z obawy o zbyt duże straty. A przecież po to ma się wojsko – by odstraszało.

Kolejne duże misje ekspedycyjne z pewnością by ów proces utrudniały. Przykład afgański każe bowiem przypuszczać, że finansowano by je z funduszy przeznaczonych na modernizację. Ale z drugiej strony, jak mówią wojskowi, „armia, która siedzi w koszarach, rdzewieje”. Niezbyt to może spostrzegawcze, ale prawdziwe. Gdy w 2003 roku wysłaliśmy żołnierzy do Iraku, okazało się, że sprzętowo, organizacyjnie i mentalnie nie jesteśmy gotowi do prowadzenia wojny. W naszym własnym, państwowym interesie, jest nie doprowadzić po raz kolejny do takich zaniedbań. Stąd wręcz konieczność uczestnictwa w operacjach zagranicznych. Ale już nie „na bogato”, całą brygadą, z ambicją zarządzania dużym terytorium, lecz skromniej – posyłając batalion, oddany pod komendę silniejszych, bardziej zaangażowanych, z realistycznie określonymi celami. By w ten sposób realizować swoje sojusznicze zobowiązania, a zarazem dopuszczać do armijnego krwiobiegu wyszkolonych na wojnie żołnierzy.

– No właśnie, czy Polska odrobiła „lekcję afgańską”? Czy

obecność na misjach zagranicznych coś dała naszej armii?

– NATO, a więc i Polska, wojnę w Afganistanie przegrało. Nie udało się zdusić fundamentalistów, los prozachodniego reżimu jest niepewny (a i sam reżim coraz mniej prozachodni). Patrząc zatem z tej perspektywy, trudno mówić o „odrobionej lekcji”.

Ale zawężając postrzeganie i skupiając się wyłącznie na naszej armii, widzimy wiele pozytywnych zmian. Dziś wie ona więcej – dużo więcej – o tym, jak funkcjonuje się we wielkich międzynarodowych strukturach wojskowych, działających w warunkach konfliktu, ostrzelała tysiące żołnierzy, przetestowała sprzęt.

Niestety, przepisy powodują, że wielu doświadczonych wojskowych jest już obecnie w cywilu, inni utknęli na swoich stanowiskach (bo gdy oni wojowali, biurokratyczna machina wciąż działała, i to koledzy w kraju awansowali). Nie bez znaczenia są również koszty – tych czterdziestu zabitych, kilkuset rannych, no i bomba z opóźnionym zapłonem, która tyka w głowach wielu weteranów. Mam na myśli stres pourazowy i jego konsekwencje – depresje, alkoholizm, przemoc w rodzinie, samobójstwa. Największy wysyp dopiero przed nami. Za wcześnie zatem na jednoznaczne podsumowania.

– Co z Waldemarem Skrzypczakiem? Jesteś blisko zwykłych, szeregowych żołnierzy – jak podchodzą oni do dymisji i zamieszania wokół generała?

– Każda z rozmów z generałami utwierdzała mnie w przekonaniu, że w armii mamy do czynienia z bardzo niebezpieczną sytuacją. Słabiutki – jeśli idzie o kompetencje intelektualne i fachowe umiejętności – kontrwywiad wojskowy, sporą część swoich wysiłków ukierunkował na inwigilację generalicji. Bo tak jest najłatwiej, bo nie wymaga to szczególnych zabiegów – wystarczy tylko założyć podsłuch na telefon. Oficerowie mają tego świadomość i co do zasady panuje zgoda – takie rzeczy mieszczą się w „standardach gry”. Niemniej niepokojąca jest filozofia

działania SKW. Najwyżsi rangą dowódcy – zamiast mieć w kontrwywiadzie oparcie – czują z jego strony zagrożenie. „Oni mają nas ostrzegać, chronić przed niewłaściwymi ludźmi, a nie zbierać na nas haki” – mówią. Ilustrując to przykładem – spotkanie z lobbystą nie ma być pretekstem do „ustrzelenia” wojskowego. Jeśli rzeczony lobbysta działa nie fair, zadaniem bezpieczeństwa jest doprowadzenie do tego, by opuścił on nasz kraj. A jeśli służby chcą kogoś takiego wykorzystać operacyjnie – winny obstawić spotkanie. Tymczasem, co pokazuje przykład generała Skrzypczaka, SKW nie jest nawet w stanie zidentyfikować osób zajmujących się takimi praktykami.

– A to tylko ludzie z biznesu...

– No właśnie. Znamienne jest, że mimo obecności kilkuset rosyjskich agentów w Polsce (tak to szacują moi rozmówcy), od kilku lat nie udało się kontrwywiadowi doprowadzić do wykrycia i wydalenia choćby jednego z nich. A przecież ci ludzie nie zawiesili swojej działalności...

Wracając do Skrzypczaka – owa strukturalna słabość kontrwywiadu doprowadziła do sytuacji, w której instytucja ta odegrała rolę użytecznego idioty w rozgrywkach lobbystów. Bo co obciąża generała – cytowany przez media list? Odrobina wiedzy kontekstowej na temat funkcjonowania MON oraz zwyczajów obowiązujących w branży zbrojeniowej, wystarczą, by przyjąć tłumaczenie Skrzypczaka. Że tak się takie dokumenty pisze – i że wcale nie znaczy to intencji ustawienia przyszłego przetargu. Domniemana łapówka w postaci zakupionego po niższej cenie auta? Słabość przesłanek jest tak żenująca, że jako podatnik czuję się sfrustrowany, iż na ustalenie takich sensacji idą moje pieniądze.

Co do sedna Twojego pytania – żołnierze są źli. „Waldek” – jak mówią o Skrzypczaku mundurowi – miał gwarantować, że modernizacja nie zamieni się w jeden wielki przewał. Teraz obawy wzrosły. Nie zmienia to faktu, że wielu moich kolegów w armii właśnie taki obrót sprawy przewidywało. „W tym szambie,

jakim jest polityka, generał był człowiekiem z innej planety” – mówią. Wielu żałuje, że „dowódca z krwi i kości” właśnie zakończył swoją publiczną misję. „Szkoda, że tak się to wszystko ułożyło” – usłyszałem od dawnego podwładnego Skrzypczaka. „Że Waldek zrzucił mundur. Dziś byłby idealnym kandydatem na dowódcę generalnego”.

Ale to już zupełnie inna historia.

– Dziękuję za rozmowę.

Notował: Arkady Saulski

Źródło: Stefczyk.info